Rok XXIV. We Lwowie, dnia 17. sierpnia 1917. Nr. 33.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 15·— K.
półroczna . 7·— „
kwartalna . 3·60 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

„Stało się to za sprawą Pańską i dziwnem jest w oczach naszych".

(Ps. 117, 23.)

To, co przed kilku jeszcze laty wydawało się niemożliwem: straszliwy pogrom Rosyi i upadek caratu, o którego przyjaźń zabiegały państwa zachodnie, pod którego opiekę tuliły się narody bałkańskie, — to dzisiaj stało się faktem i „dziwnem jest w oczach naszych". Byli jednak tacy, którzy przewidzieli, chociaż nie całkiem jasno, te wiekopomne wypadki dziejowe, bo wierzyli w sprawiedliwość Bożą, w tryumf sprawy polskiej, w zwycięstwo wolności. Spoglądając na pomnik Piotra Wielkiego, przewidywał Mickiewicz upadek tyranów piotrogrodzkich, zapowiadali go Krasiński i inni natchnieni piewcy nasi, a między nimi Lenartowicz w poemacie swoim „Petersburg w ogniu" [1]). Ręka sprawiedliwości, obejmująca świat cały, podkłada głownię pod stolicę nadnewską, to „miasto straszliwe, które się wylęgło jak żmija z błota.

Miasto przepychu, zgrozy, zbytków, złota,
Naśladujące Sodomę, Niniwę,
I inne, które pożarł ogień Boży.
To miasto więzień, miasto bachanalii,
Gdzie zbytek szalał Babilonu gorzej...

„Słuchajcie!" — woła poeta — straszne to miasto się pali.

Po tym wstępie — wspaniały, grozą przejmujący obraz pożaru Petersburga:

Ognista ręka ciągnęła się w górze,
I rozrastały się w czarnej przestrzeni
Straszliwe palce niszczących płomieni.
Potem ta ręka nad głowy motłochu,
Nad pałacami zwolna się ściskała,
I w tym uścisku miasta część zgorzała,
I zamieniła się w czarną garść prochu.

Na Newie zaczęły płonąć żagle okrętów, podobne do skrzydeł ogromnych ptaków i spopielone opadały w wodę. Dokoła słychać huk dzwonów, z wśród zamieszania i ogólnej trwogi, widać przelatujące wojsko niewolników. Dym żre oczy, od iskier zajmują się szaty przechodniów. Przed oczyma poety upadały w proch głowy siwobrodych starców, którzy obrazami świętych usiłowali odwrócić pożogę od swoich domów.

Upadali „jakby Bóg w gniewie odrzucił ich wiarę".

Koło pomnika Piotra Wielkiego stanął przerażony car, nie wiedząc, dokąd się zwrócić. Przy nim stanął po wiekach zbudzony duch Spartaka i przypatrywał się temu zniszczeniu, swobodnie oddychając w płomieniach. W piersi jego niema litości, z oczu i uśmiechu wygląda mu śmierć...

Postać ta, jakby wylęgła z dymiących gruzów, patrzy z pod czoła w twarz imperatora.

Potem przesuwają się przed oczyma poety cienie męczenników polskich, podobne do złotych posągów. Cienie te niknęły powoli w gniewnem niebie, które tak trzęsło ulewnym deszczem iskier. Car, przerażony tym widokiem, począł ocierać krwawe łzy.

Widmo powoli zniknęło, zniknęło i widmo cara. Został tylko bronzowy posąg Piotra Wielkiego, świecący tak w ogniu, gdyby konny szatan...

W tem nieszczęściu, obejmującem całą stolicę, zażądano ratunku od Moskwy. Ale i ta stara siedziba Iwanów Groźnych stoi od dwóch dni w ogniu. Ogień objął cały kraj, pożar kosi zboże na polu, lasy, wszystko...

Miasta i wioski płoną jak pochodnie,
Które zapala straszna pomsta nieba,
Ta zemsta Boża, która ściga zbrodnie.
Ratować czasa niema... ginąć trzeba...
W dymach pożaru grzmi głos *Anathema*!

Rzeczywiście dziś pożar ogarnął całą Rosyę, pożar rokoszu i rozpętanych namiętności. Rozprzęgły się wiązadła budowy społecznej, żołnierze mordują swoich braci i wodzów, tłumy nie uznają żadnej władzy, łupią i palą

[1]) T. Lenartowicz. Wybór pism, t. III. Kraków 1876. Na ten poemat zwrócił niedawno uwagę w Gazecie Lwowskiej Dr. Ant. Mikulski.

dwory, porzucają pracę, aby cudzą bogacić się własnością, a były ich władca-samodzierżca, obłąkany ze strachu i bolu, jest dzisiaj ich więźniem wraz z całą swoją rodziną; — stał się ofiarą wojny, która miała rozszerzyć jego potęgę na cały świat słowiański i uczynić go panem grodu Konstantyna. Klęski, poniesione przez Rosyę i wybuch rewolucyi sprawiły, że przestała być niebezpieczną — jak można mieć nadzieję — dla chrześcijaństwa, dla Polski i dla postępu ludzkości i przybliżyły upragniony przez wszystkich pokój. „Stało się to za sprawą Pańską i dziwnem jest w oczach naszych"... „Pójdźcie a zobaczcie sprawy Pańskie, jakie cuda czyni On na ziemi: ukraca wojny aż do kończyn ziemi. Kruszy łuki i druzgoce broń i tarcze pali ogniem"... (Ps. 45, 9—10)[1]). *X. N.*

Metody apologetyczne.

(Dokończenie).

Apologetyka psychologiczno-moralna w szczególności.

I. Apologetyka modernistyczna.

Usiłowania, ażeby wobec zmienionych warunków oprzeć wiarę na nowych zasadach, wydały różne owoce i do różnych doprowadziły wyników. I tak moderniści we wnętrzu duszy ludzkiej chcieli odnaleźć religię nadprzyrodzoną[2]). Powiadają oni, że wszystkie siły i czynności religijne opierają się na naszej podświadomości. W podświadomości religia ma początek i koniec. Działanie Boga i głos boży dochodzi do duszy wyłącznie w jej wnętrzu. Objawienie nie wchodzi do naszej duszy z zewnątrz, lecz dusza wydobywa zarówno przedmiot wiary, jak i stosunek do tego przedmiotu z wnętrza własnego „ja" czyli z podświadomości.

Są różni ludzie. Jedni lepiej i silniej odczuwają podświadomy popęd religijny, inni mniej. Jeżeli w jakiejś osobie odzywa się poczucie religijne, wówczas w podświadomości tejże tworzy się nowy świat religijny, przelewa się na całe życie świadome danej jednostki, przedostaje się na zewnątrz i jeśli w społeczności ludzkiej znajdzie odpowiednie podłoże, wówczas ogarnia ją to samo uczucie, ten sam pogląd religijny, tak, że wszyscy jej członkowie przeżywają te same uczucia religijne, które przeżyła osoba, co je wytworzyła. Chrystus był jednym z tych, w którego podświadomości powstał nowy, najsilniejszy, najczystszy, najlepszy, genialny i oryginalny świat religijny. Lecz popęd religijny, który działał w Chrystusie, pochodził od Boga. To też przez Chrystusa i w Chrystusie objawił się nam Bóg.

Otóż w poglądzie modernistów najlepiej wyraziło się niebezpieczeństwo, na które naraża metoda psychologiczna wiarę i religię chrześcijańską. Przedewszystkiem, wywodząc religię z duszy człowieka, znosi ona różnicę między porządkiem przyrodzonym i nadprzyrodzonym, a w dalszem następstwie naraża religię przyrodzoną na zupełną zagładę. Bo gdyby w naszej podświadomości istniało jakieś przeczucie, czy odczucie Bóstwa, wówczas powstałyby w nas dwie jaźnie, jedna świadoma, druga podświadoma, jakieś cudze „ja". Mielibyśmy więc rozdwojenie osobowości, które jest stanem chorobliwym, a więc i religia, opierająca się na tych stanach, narażałaby się na to samo podejrzenie. Powtóre, życiem naszem kieruje nie podświadomość, lecz świadomość. Życie podświadome jest chaotyczne, nie zorganizowane, dopiero świadomość doprowadza je do ładu i porządku. Gdzie panuje podświadomość nad świadomością, tam jest stan chorobliwy. Zresztą, co może stać na przeszkodzie Bogu, żeby nie mógł odrazu zwracać się do świadomości, lecz błąkał się po manowcach podświadomości? Nic! A więc nie należy Boga szukać w podświadomości.

II. „Apologia czynu" (*„de l'action"*).

Pewna część apologetów francuskich[1]) próbuje z niedoskonałości naszych czynów wyprowadzić potrzebę i konieczność istnienia porządku nadprzyrodzonego.

Opierają się oni na poglądach Kanta. Powiadają, że cokolwiek jest w człowieku, pochodzi z jego świadomości. Żadna prawda[2]), żaden obowiązek, żadne przekonanie nie może być człowiekowi narzucone z zewnątrz. Cały porządek poznawczy i moralny musi pochodzić z duszy jako jej postulat. Badając nasze czynności, widzimy, że one są niedoskonałe, widzimy, że my sami sobie nie wystarczamy, że nasze myślenie i działanie koniecznie potrzebuje pomocy, jako to: łaski, objawienia, nieomylnego urzędu itd. Ażebyśmy więc mogli żyć zgodnie z rozumem i głosem sumienia, potrzebujemy sił wyższych od tych, które mamy, potrzebujemy pomocy nadprzyrodzonej. Apologetyka, opierająca się na analizie czynu, ma przewyższać apologetykę tradycyjną tem, że ta pomijała stronę subjektywną wiary, a broniła tylko wiary przedmiotowej. To też powiada Blondel[3]): „Nie powtarzajmy ogólnie znanych argumentów, t. j. nie przedstawiajmy przedmiotu, gdy jeszcze podmiot nie jest przygotowany. Manco jest nie po stronie prawdy boskiej, lecz po stronie ludzkiego przygotowania, to też tu należy kierować siłę dowodową".

Przygotowanie zaś człowieka według Blondela ma się dokonać przy pomocy środków psychologicznych, przez przedstawienie mu piękności moralnej religii, jej pożytku socyalnego, zgodności wiary ze skłonnościami duszy ludzkiej. Apologetyka ma obrać jako punkt wyjścia działanie człowieka. Działanie zaś jest to myśl konkretna, która nas odzwierciedla. Każda czynność ludzka jest niedoskonałą i dlatego zmusza nas do szukania jakiejś pomocy. A kto nam ma dać tę pomoc? Otóż na tle mojej świadomości odbija się jakieś „ja", które nie jest mojem „ja", w tem „ja" odbija się moje „ja", mój obraz. Ja patrzę tylko przez to obce „ja" na siebie i w niem się odbijam, jakby w jakiemś tajemniczem zwierciedle. Chociaż nie

---

[1]) W przekładzie X. arcyb. Symona.

[2]) Loisy „Simplex, réflexions sur le decret du S. Office et sur l'encyclique". 1908, str. 161.

[1]) Ollè-Laprune: „Philosophie do temps présent". Paris 1890. „Sources de la paix intellectuelle" ib. 1892. „Prix de la paix" ib. 1894. „Ce qu'on va chercher à Rome" 1895.

[2]) Blondel „Annales de philosophie chrétienne" Janvier-Juillet 1896, str. 28.

[3]) Brunetière, tamże Nov. 1895, str. 189.

znam imienia i natury tego tajemniczego „ja“, to jednak czuję jego obecność podobnie, jak w ciszy nocnej słyszę kroki przyjaciela, dotykam jego ręki, choć go jeszcze nie poznaję. W naszej duszy, jakby w niedoskonałem zwierciedle, odkrywamy jakąś nieomylną doskonałość, która stanowi kontrast do naszej niedoskonałości. Porównując siebie z ową doskonałością, widzimy w sobie braki, widzimy również, że ta doskonałość, która odbija się w naszej duszy, zdoła usunąć braki naszych czynów przez łaskę i objawienie.

Podobnie jak Blondel, dowodzą potrzeby pomocy nadprzyrodzonej dla naszych czynności Brunetière [1]) i Fonsegrive [2]).

Zastanawiając się nad wartością tej metody apologetycznej, musimy najpierw zauważyć, że apologetyka może zmieniać broń swoją i taktykę. Ponieważ nowsza filozofia woli przyznała wyższość nad rozumem, przeto i obronę można przenieść do woli. Ale z drugiej strony wiara ma być „rationale obsequium“, więc i rozum musi w niej mieć swoje należne miejsce. Ograniczenie obrony religii do serca i woli do niczego nie prowadzi, nikogo nie nawróci. Bo choćby się dowiodło, że pomoc Boża jest koniecznie potrzebną człowiekowi do moralnego życia, to jednak z tego nie wynika, że On rzeczywiście istnieje. Rozum może wprawdzie poznać braki w naszych czynach, może poznać potrzebę jakiejś pomocy, ale pomoc ta może obracać się tylko w porządku naturalnym. Można jednak tej metody używać dla przekonania tych, którzy nie uznają dowodów zewnętrznych i poddawszy analizie najgłębsze ich aspiracye, wykazać, że nie mają siły do postępowania według tych ideałów i dowodzić, że do tego potrzeba mi światła wyższego i wyższej pomocy. Jeśli zaś to dowodzenie ich przekona, wówczas przechodzimy do argumentów zewnętrznych. A więc ta metoda psychologiczna może być dobrą w stadyum przygotowawczem dowodzenia apologetycznego, a zwłaszcza, gdy pouczamy ludzi, którzy, aczkolwiek przejęci są filozofią nowoczesną, czują jednak w sobie szlachetniejsze porywy serca, albo innych, którzy mają wiarę, lecz w życiu nie kierują się jej zasadami.

Zadaniem więc apologetyki psychologicznej jest przygotowanie naturalnego podłoża wiary, przez usuwanie przeszkód, które wiara napotyka w sercu i w woli, czyli ma ona wyrabiać przychylne usposobienie względem wiary właśnie w tej władzy, od której najwięcej przyjęcie wiary zależy. Ale nie można twierdzić, że tylko ta metoda potrafi człowieka nie wierzącego nawrócić, że tylko ona jest pewną drogą, która prowadzi do celu.

III. Apologetyka moralna.

Zwolennicy tej metody powiadają, że wiara nie jest konkluzyą syllogizmu, lecz obowiązkiem. Trzeba wierzyć, bo bez wiary nie można żyć. Wiara jest jakby instynktem, danym nam przez naturę, jest czemś w rodzaju zmysłu moralnego. Tego, że w nas jest sumienie moralne, nie trzeba dowodzić, sumienie zaś musi mieć swoje „credo“, bez którego nie obejdzie się życie praktyczne. Wiara zatem jest postulatem życia praktycznego. W tem zgadzają się z Kantem. Różnią się od niego w tem, że gdy Kant dowodził potrzeby wiary tylko ze stanowiska rozumu praktycznego, oni chcą jej petrzeby dowodzić ze stanowiska rozumu teoretycznego.

Dowody jednak moralne prawdziwości religii chrześcijańskiej nie mogą przekonywać same, gdy nie łączą się z innymi. — Można wprawdzie w myśl Chrystusa: „z owoców ich poznacie je“ dowodzić, że religia chrześcijańska jest prawdziwa, ale nie można dowodzić, że tylko ona jest prawdziwą. Uważanie czegoś na prawdę dlatego, że jest dobrem, opiera się na kruchych podstawach. Bo dobro nie jest miarą prawdy, lecz przeciwnie. Gdyby dobro było miarą prawdy, wówczas człowiek mógłby przyjmować za prawdę to, co chce uważać za prawdę, dlatego że dobrem jest w jego oczach to, co on chce uważać za dobre. Taka prawda miałaby wartość tylko względną, nie absolutną.

To też ten sposób dowodzenia może być dobrym dla katolików, a nie dla tych, którzy wiary nie posiadają. Ale tu musimy najpierw podzielić katolików na pewne kategorye.

Trzy są kategorye katolików ze względu na habitus fidei. U jednych wiara nie rozwinęła się lub zamarła pod wpływem wychowania, czy też otoczenia. Drudzy wyznawali dawniej wiarę, lecz ją później utracili, choć się jej formalnie nie wyparli.

U tych „habitus“ wiary jeszcze pozostał, lecz popadli w indyferentyzm religijny. Inni wierzą, ale doznają pokus przeciw wierze, szukają prawdy, ale nie mogą sobie rozwiązać trudności, jednak formalnie nie odrzucają wiary ze względów ludzkich.

Te różnice stanów duchowych powinien uwzględniać apologeta. Pierwszych należy pouczyć, drugich porwać pięknością chrześcijaństwa, a ostatnich pouczyć i porwać. A wówczas łaska, która ma podłoże w „habitus fidei“, pocznie działać i obudzać w nich wiarę żywą.

Pierwszy sposób dowodzenia można oprzeć na metodzie psychologicznej: można, poruszając sumienie i podnosząc to, co jest pociągającem w dogmacie, porywać duszę do wiary pięknością i wzniosłością chrześcijaństwa. Tu możemy iść za Chateaubriandem (Geniusz Chrześcijaństwa) lub za biskupem Bougaud lub Ojcem Lacordaire. Wówczas obudzimy w duszy niewierzącego podziw dla chrześcijaństwa, jeśli uwydatniać będziemy to, co go może poruszyć, a więc moment poetyczny, estetyczny, uczuciowy, umysłowy lub moralny. Stąd zrodzi się podziw dla dogmatu jako źródła tychże piękności, jako źródła cnót. Piękność chrześcijaństwa, która zachwyciła Augustyna, bardzo wielu nawraca, a nawet na ludzi zepsutych działa jego czynnik idealny.

Jeśli zaś ktoś zerwał z wiarą i odrzuca powagę Kościoła, przez tego przemawia pycha lub ignorancya. Wtedy trzeba zbadać, jakiego rodzaju jest ta ignorancya i szukać środków przeciw jego pysze.

A więc i apologetyka psychologiczna, choć ma pewne braki, może oddawać wielkie usługi. W tej metodzie kieruje nami przekonanie, że jak prawo naturalne nie może uledz zatarciu w duszy ludzkiej, tak samo wiara i zasady moralne, że człowiek może pobłądzić, ale też

[1]) „Sur les chemins de la croyance“ 1905, str. 154.

[2]) „Le catholicisme et la vie de l'esprit“. Paris 1906, str. 52.

może poznać swój błąd. Dlatego nasze postępowanie musi być ostrożne, kierowane miłością bliźniego i polegać musi na doskonałej znajomości tego, którego chcemy nawrócić. Dlatego do pracy należy przystępować, wychodząc z założenia, że przeciwnik jest szczery, że szuka prawdy, tylko jej znaleźć nie może.

A więc apologeta nie może poprzestawać tylko na rozumowych dowodach, jak czynią Schanz i Hettinger, lecz powinien podnosić i psychologiczne motywy wiary, jak Bougaud, lub estetyczno-poetyczne, jak Chateaubriand lub moralno-socyalne jak Weiss. Powinien działać nie tylko na rozum, ale i na uczucie i wolę, bo wiara wszystkie władze duszy obejmuje, a w każdej z nich może być przeszkoda, którą należy usunąć. Apologeta nie może być tylko teoretykiem, nie tylko ma dowodzić stereotypowo i abstrakcyjnie, lecz powinien być praktykiem. Powinien znać choroby ducha w teoryi, ale powinien też umieć przeprowadzić dyagnozę człowieka lub klasy ludzi, do których przemawia. Do tego zaś potrzeba nie tylko głębokiej wiedzy teologicznej, ale i znajomości psychologii i szybkiej oryentacyi.

Nie należy jednak przesadzać i przenosić metody psychologicznej nad filozoficzną; — lecz wszystkie metody powinny współdziałać, ażeby osiągnąć ten sam cel t. j. wiarę. Apologetyka powinna uwzględniać wszystkie władze duszy, a więc używać i dowodów rozumowych i moralnych i psychologicznych, jako całość.

X. Dr. Jan Szymeczko.

Zniszczenie „Muzeum Podolskiego" w Tarnopolu.

Zwycięski pochód sprzymierzonych odsłania bezlitośnie wszystko, co długo przed okiem naszem krył kordon ze spiżu i stali. Odrazu w nagiej prawdzie stanęły ruiny i zgliszcza, ofiary ciężkie, złożone na ołtarzu wojny strasznej. Dochodzą wieści o coraz to nowych, coraz dotkliwiej raniących stratach — tu zniszczono czcigodną świątynię, ówdzie zamek odwieczny, lub drogą sercem pamiątkę. Nie dziw też, niestety, że nie inne relacye dochodzą i ze stolicy Podola, na wpół rozoranej przez molocha wojny. Ucierpiał niejeden budynek cenny, istnieć przestała niejedna budowla. Na razie nie posiadamy jeszcze dość wiarogodnego rejestru strat owych, ale z pewnością nie wolno nam być pod tym względem optymistami. Pewną zaś już dziś jest szkoda, poniesiona nie tylko przez miasto samo, ale i przez społeczeństwo całe, pozbawione dobra wspólnego, wspólnemi siłami w lepszych czasach zgromadzonego.

Jeszcze za czasów inwazyi we Lwowie informowałem się u prof. St. Srokowskiego o stanie zbiorów naukowych tarnopolskiego Tow. Szkoły Ludowej, ale już wówczas nie pocieszające były wiadomości o tem. W czasie zajmowania miasta przez wojska rosyjskie pocisk armatni nadwerężył ściany gmachu, takim nakładem starań i kosztów wzniesionego; — po zajęciu oddano go na szpital chorób zakaźnych. Zniknęły wspaniale urządzone sale biur i pracowni, a jedynie usilnym zabiegom niestrudzonego twórcy i organizatora Towarzystwa, prof. St. Srokowskiego, powiodło się zizolować na czas pewien ubikacye muzealne i biblioteczne, zamknięte drzwiami żelaznemi. Wprawdzie okucia zamczyste niejednokrotnie nadwerężano, spodziewając się za niemi jakichś wielkich skarbów, ale szczęśliwie opierały się one atakom coraz ponawianym. Za ostatniem widzeniem się z prof. Srokowskim, nie długo przed odbiciem Lwowa, słyszałem od niego bardzo elegijne horoskopy na dalszą przyszłość ukochanych przezeń zbiorów Towarzystwa i jego gmachu. Potem zaś urwały się wszelkie nici komunikacyjne i głucho było o życiu Tarnopola.

Nie ostały się jednak podwoje żelazne szturmom niestrudzonym. Przyszła bowiem wieść smutna, iż zbiory muzealne wielkie straty poniosły, zaprzepaszczony został dorobek wieloletni. Przykro pisać nekrolog temu, co w oczach naszych powstało, ładnie rozwijać się poczęło, a nawet kwieciem okrywać — żal przypomnieć sobie życie dawne i ruinę dzisiejszą! Pamiętam owe salki schludne, zgrabnie mnóstwem rzeczy pięknych i ciekawych wypełnione, przed któremi z zachwytem stawało się, nie mogąc dość dobitnie okazać uznania i podziwu dla nadzwyczajnej zapobiegliwości Zarządu. Oczu oderwać nie można było od pięknych szaf i witryn oszklonych, półek i wiatraków, wierzyć się nie chciało, iż w kilku latach ledwie wszystko to powstało. A cóż dopiero mówić o przebogatej zawartości sal wszystkich czterech! Jakby mitem jest dziś wspomnienie pedantycznego ładu, prawdziwie serdecznego ukochania pamiątek i wogóle atmosfery, ogarniającej uśpione świadki wieków zamierzchłych, prawdziwe resztki drogie „naufragio ereptae"! Dzisiaj, jeśli nie wszystko, to bardzo wiele do przeszłości już należy. Z po za szyb wybitych pustką wionie nie jedna półka, nie jedna gablota. Zabrakło zaś rzeczy najcenniejszych, bo amatorowie do wybrednych należeli. Niejeden z okazów znalazłby się obok innych z Polski całej w handlach starożytności miast rosyjskich. W Lublinie nieraz trafiają się dyrektorowi biblioteki tamtejszej książki i zabytki, uwiezione z Galicyi, a w Kijowie i Petersburgu niedawno ożywił się handel starożytnościami. Może niejeden z okazów Muzeum Podolskiego udałoby się tam odszukać — próżny to trud jednak!

Żywo mi staje dzisiaj przed oczyma uradowana postać szanownego prof. Srokowskiego, prawdziwego twórcy wspaniałości całej zbiorów, w chwili, kiedy w poczuciu dokonania rzeczy istotnie wielkiej wtajemniczał mię w sekrety właśnie opracowanego przez niego „Przewodnika po Muzeum Podolskiem w Tarnopolu" (Tarnopol 1913 8° str. 15). Jak żywą okazywał radość ze zdobycia oryginalnego herbu Tarnowskich z 1558 r., którym ozdobił okładkę „Przewodnika", jak stwierdzał z zadowoleniem: „Tak! Tarnopol posiada obecnie muzeum"! „Małe, biedne, w bardzo wielu kierunkach niekompletne, przecież jednak muzeum. Nie lamus, gdzie wstawiono niedbale to i owo bez związku i celu. To, co znalazło się w murach muzeum tarnopolskiego, tam być może — stwierdzał — a nie jednego przedmiotu pozazdrościćby nam mogły muzea większe, a nawet nasze przepiękne zbiory krakowskie. Szmat dziejów woła do nas z kąta każdego. Widzi się, czem tu na kresach byliśmy i czem być możemy"!

Jakie wysiłki wsiąkły bezimiennie w pracę około organizacyi muzeum, o tem najbliżsi tylko tej pracy wiedzieć mogą. Z największą gorliwością zabiegali o dobro

zbiorów lat całe szeregi wszyscy niemal członkowie Towarzystwa, a duszą i sprężyną wszystkiego był niezmordowany prezes, projektodawca, organizator i realizator w osobie jednej.

A co za dzieje kryły się za okazami poszczególnymi! Zdobycie niejednego przedstawia sumę rzetelną niezmordowanych trudów i zabiegów. Nieraz zdawało się, że do utworzenia muzeum nie przyjdzie, że nieofiarność i bezmyślność ogółu górę wezmą nad sprawą publiczną, a że ostatecznie stało się inaczej, zasługa to przedewszystkiem komisyi muzealnej, dowód, co znaczy wysiłek zbiorowy organizacyi nawet w najmniej sprzyjających warunkach.

Zbiory umieszczono w czterech ubikacyach parteru gmachu frontowego Tow. Szkoły Lud. przy ul. ks. Kaczały, a początek ich sięga roku 1907. Tarnopolskie Koło Towarzystwa, znalazłszy się wówczas we własnej, choć bardzo skromnej realności przy ul. Mickiewicza, pomyślało wnet o stworzeniu instytucyi o trwałej wartości kształcącej. Wybrano komisyę muzealną i rączo wzięto się do zrealizowania śmiałego pomysłu. W niespełna lat sześć potem okazała się już potrzeba spisania skarbów zgromadzonych w podręczniku osobnym. Pracy tej dokonał bezimiennie prof. St. Srokowski, dając wzór, jak wywiązuje się najstosowniej z rzeczy podobnych. „Przewodnik“ wspomniany przyjęła krytyka fachowa z wielkiem uznaniem, jakiem wogóle cieszyła się naukowa działalność Towarzystwa, a zwłaszcza zabiegi jego muzealne i biblioteczne.

Na działy muzeum składały się wykopaliska przedhistoryczne, broń, porcelana, ceramika, monety, medale, medaliony, tkaniny, ryciny, mapy, druki, dokumenty, dyplomy, fotografie, rysunki, malowidła, rzeźby, meble artystyczne, pamiątki historyczne, tudzież okazy z trzech królestw przyrody. O żadnym z tych działów nie można było powiedzieć, iżby głównie reprezentowany być miał większą ilością okazów, ponieważ przedstawiały się dość równomiernie i naogół bardzo interesująco. W każdym zaś wyróżnić się dało przedmioty szczególnie ciekawe i cenne, śmiało mogące stanowić ozdobę nawet muzeów stołecznych. W kollekcyonowaniu zaś zwracano przedewszystkiem uwagę na przedmioty, mające coś wspólnego z Podolem, z jego przeszłością i przyrodą. Nie znaczy to, iżby zgromadzone okazy odnosiły się wyłącznie do Podola, bo w warunkach, w jakich rozwijało się muzeum, nie mogło uwzględniać konsekwentnie tego kierunku. Stosownie jednak do lokalnego charakteru muzeum krajoznawczego zwrócono zwłaszcza uwagę na wykopaliska podolskie, etnografię i zabytki historyczne pochodzenia miejscowego.

Przebogatą w zabytki przedhistoryczne jest ziemia Podola i nie dziw, że w zbiorach tarnopolskich znalazło się wnet tyle okazów ciekawych. Obok znanych z innych wykopalisk, znajdowały się tu przedmioty, wogóle bardzo rzadko trafiające się u nas lub wprost jedyne w swoim rodzaju. Takim jest np. kocieł bronzowy z Trembowli, kolekcya szklanych branzolet rzymskich z pod Trembowli, ogromne naczynie gliniane ze Skoryk, łopata drewniana wykopana w głębokości $2^1/_2$ m. w torfowisku, inwentarz dwu grobów skrzynkowych z Zastawia, szkło rzymskie z Kałabarówki, siekieromłot rogowy, grociki scytyjskie, tarczka bronzowa z Postołówki, tudzież potężny młot granitowy. Ciekawą była czarka pochodzenia wschodniego, wykopana w lasku Hodów koło Pomorzan, czworogran ołowiany, wydobyty ze starożytnego grobu żydowskiego w Tarnorudziu, z napisem żydowskim: „Neim Mose Ben Haraw Gerson“ („sława Mojżesza, syna rabina Gersona“), tudzież szekiel, wykopany pod Husiatynem.

W pięknej serwantce starej widziałem sporo porcelany i szkła, filiżanki koreckie, wazę z Baranówki, karafkę szlifowaną z herbem Korczak, tudzież pyszne wyroby obce, saskie, wiedeńskie, sewrskie. Ściany pierwszej sali ozdobiono oprawnymi w szkło kartonami, na których rozłożono prześliczne wzory materyi, niegdyś w Polsce używanych. Wszystkie darem były znanej w kraju całym kolekcyonerki p. H. Dąbczańskiej, która wogóle opieką swą otaczała muzeum od chwili jego założenia.

Z dokumentów ciekawy był manifest rządu austryjackiego z 1815 r., obwieszczający wcielenie t. zw. kraju tarnopolskiego do Austryi, dokumenty pergaminowe królów polskich, patent gub. wołyńskiej z 1829 r., nadający szlachectwo dwom Pitschmannom (malarz wileński). dyplom pergaminowy z 1787 r., którym wiedeńska Akad. sztuk pięknych mianuje malarza Józefa Pitschmanna z Tryestu swoim członkiem rzeczywistym, nominacya Konstantego Pitschmanna podporucznikiem strzelców 8 oddziału wołyńskiego z 30. września 1863 r., oryginalny okólnik poufny namiestnictwa galic. z 1861 r., obwieszczający srogie kary za śpiewanie pieśni „Boże Ojcze, Twoje dzieci!“, bardzo ciekawy rękopis, opisujący losy i udział w powstaniu węgierskiem rotmistrza ułanów armii rosyjskiej, Kaz. Rulikowskiego, rozstrzelanego przez Rosyan 28. sierpnia 1849 r., któremu Węgrzy pomnik postawili w Waraždynie Wielkim etc.

Cenne też były mapy folwarków i wsi podolskich z czasów pańszczyźnianych, z pierwszej poł. XIX. w. Prócz obowiązującego podówczas gospodarstwa trzypolowego, okazują one rozmieszczenie zabudowań ludności wiejskiej. W bibliotece znajdują się wykazy, objaśniające te mapy, spisy włościan, parcel i tp. Papiery te specyalnie cenną stanowiły kolekcyę, kompletowaną według możności przez Zarząd.

Z rycin, obrazów itp. zwracały uwagę: miniaturka, przedstawiająca starozakonnego, oprawiona w złoto, kamea, znaleziona przy kopaniu rowu w Kapuścińcach, ryngraf staropolski, rysunek kredkowy prof. Suteckiego z 1863 r., przedstawiający plac Sobieskiego w Tarnopolu w ówczesnej jego postaci, z zamkiem, zdobnym jeszcze w charakterystyczne dachy i hełmy wież, miniatura, przedstawiająca Praviciniego, pierwszego cukiernika włoskiego we Lwowie, z pocz. XIX. w., tudzież liczne sztychy, drzeworyty, rysunki i tp.

Z okazów broni widziałem kosę powstańczą, pistolety i rewolwer z 1863 r., hełm i kilka innych przedmiotów żelaznych, wykopanych pod Założcami, mosiężne strzemiona tureckie z Połowiec na Podolu, garłacz, bogato ornamentowany i nabijany srebrem z fabryki R. Dajczera w Częstochowie, szablę żołnierza z 1831 r., pamiątkę kapitulacyi wojska polskiego na terytoryum pow. zbaraskiego.

Okazale przedstawiał się dział monet polskich z okazami z czasów piastowskich, monetami czeskiemi, używanemi w Polsce, monetami ruskiemi, bitemi przez Kazi-

mierza W., Ludwika Węgierskiego i Wład. Opolczyka. Reprezentowane były również monety litewskie Kiejstuta, denary Wł. Jagiełły, półgrosze Jagiełły, monety Kaz. Jagiellończyka, Olbrachta, Aleksandra, Zygmunta Starego i okazy aż do czasów Rzeczpospolitej krakowskiej. Ciekawy był zbiór monet rzymskich, wykopanych w rozmaitych miejscowościach Podola. Dopełniały zbioru medale i medaliony w liczbie około setki.

Z pamiątek narodowych posiadało muzeum fotografie, karty pośmiertne, druki i t. p.

Etnografię reprezentował bogaty zbiór pisanek, przeważnie polskich, wyroby gliniane (kołomyjskie i inne), hafty i wyszywki, modele budynków i narzędzi rolniczych, tkaniny ludowe, wyroby przemysłu domowego i t. p. Ambicyą zarządu było zebranie strojów i ozdób ludu polskiego.

Z innych okazów wyróżniały się: pyszny świecznik mosiężny z bożnicy grzymałowskiej, kafle z Monasterka pod Trembowlą (XVII. w.) z wyobrażeniem postaci ludzkich w charakterystycznych strojach współczesnych, krzesło z barokowym motywem rzeźbionych wężów splecionych (stary wyrób tarnopolski) i kilka innych mebli.

Przyrodę reprezentowały okazy fauny, flory i mineralogii, wszystkie z Podola. Najciekawszym w tym dziale był meteoryt wagi 1916 gramów, znaleziony w Bobulińcach na Podolu, gdzie spadł w sierpniu 1909 r.

Pobieżny ten przegląd najlepszym służyć może dowodem wartości zrujnowanych i rozgrabionych zbiorów, które według intencyi organizatorów fundament miały stanowić odrodzonego w Tarnopolu Towarzystwa naukowego. Dla tem dobitniejszego zaznaczenia tego celu, podjęło się nawet Muzeum Podolskie wydania jednej z dalszego szeregu pracy o kulturze przedhistorycznej Podola galic., którą opracował podpisany. Następnie projektowano wydanie inwentaryzacyi cerkwi drewnianych Podola, tudzież innych zabytków tej ziemi. Nie zaniechano też ekskursyi naukowych i badań wykopaliskowych.

Obok muzeum, niezależnie odeń, powstała i rozwijała się przy Towarzystwie biblioteka, która zwłaszcza po wybudowaniu własnego gmachu skutecznie poczęła rywalizować z innemi w kraju. Pomieszczono ją w sali parterowej, urządzonej umyślnie w tym celu wielkim nakładem kosztów, a według projektu prof. Srokowskiego. Jednolitość urządzenia, oraz szlachetna harmonia linii sympatycznie uderza we wspaniałej sali o kolumnach dębowych i pięknym stropie. Urządzenie zaś wewnętrzne przeprowadzone zostało tak praktycznie i zmyślnie, iż mimo niewielkich rozmiarów przestrzennych pojemność półek obliczono na około 20.000 tomów. Z końcem 1913 r. było w bibliotece ogółem 6149 dzieł z wszelkich dziedzin literatury w 7678 tomach, o wartości minimalnej 23.955 K. O zasobie bibliotecznym wyobrażenie daje katalog kartkowy (według autorów), tudzież rzeczowy (według działów). Dla użytku czytelników wydano drukowany katalog książek.

Do zarządu Towarzystwa należy jeszcze duża biblioteka w „Sokole“, licząca około 1000 tomów, wyłącznie z belletrystyki lekkiej. Przeznaczona jest ona do użytku bezpłatnego dla ludności najuboższej.

Bliższych informacyi o muzeum i bibliotece T. S. L. w Tarnopolu zasięgnąć można ze wspomnianego „Przewodnika po Muzeum Podolskiem“, sprawozdań rocznych Koła Tarnopolskiego (za r. 1911 z ilustracyami), tudzież „Albumu Koła T. S. L. w Tarnopolu“ (wyd. 1912 r.) zawierającego 23 tablic fotodrukowych, przedstawiających między innemi wnętrza sal bibliotecznych i muzealnych. Historyę zbiorów kreślą artykuły: „Muzea lokalne w Galicyi“ (Ziemia 1912); „Z działalności tarnopolskiego TSL.“ (Kuryer Lwowski 1912 nr. 167); „Muzeum Podolskie TSL.“ (Kuryer Lw. 1913 nr. 136); „Badania arch., dokonane 1912 r. w Galicyi“ (Gazeta Lwowska 1913 nr. 181—3), tudzież rozprawa p. t. „Towarzystwo przyj. nauk. w Przemyślu i nieco o muzeach lokalnych“ (Lwów 1913), oraz wstęp do monografii p. t. „Kultura przedhistoryczna Podola galicyjskiego“ (Przewodnik nauk.-liter. 1913—1914).

B. Janusz.

„Walka o język“.

Dziś, kiedy świta nam nadzieja nowej, pomyślniejszej epoki dla rozwoju naszej narodowości, naszego szkolnictwa i piśmiennictwa, trzeba tem większą wartość i znaczenie przypisać usiłowaniom, zmierzającym do oczyszczenia naszego języka z naleciałości obcych i do uchronienia go od zepsucia. Prześliczne są słowa, które o języku tym wypowiedział Sienkiewicz przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Miłosławiu: „Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie, dała im lwie, a zarazem gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów. Ale nie był to jeszcze kres darów. Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: Oto na domiar wszystkiego daję wam spiż dźwięczny, a niespożyty, taki, z jakiego ludy żyjące przed wami stawiały posągi swym bohaterom, daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczynicie mowę waszą. I wstała ta mowa, niespożyta jak spiż, świetna i drogocenna jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie“...

Strzedz tego skarbu, czuwać nad czystością języka, usuwać z niego wszelkie wtręty obce, — powinien każdy z nas uważać za swój święty obowiązek; — niestety jednak na życie języka i rozwój wywierają różne czynniki wpływ bardzo niekorzystny. Nie mówiąc już o szkołach pruskich i rosyjskich, — i u nas w Galicyi czyni się dotąd stanowczo za mało dla mowy ojczystej. W gimnazyach wykłada się aż nadto obszernie historyę literatury i zbyt wiele, nawet powieści, każe się czytać uczniom, a znaczna ich część, kończąca szkołę średnią, nie umie mówić i pisać poprawnie po polsku, a nawet popełnia rażące błędy ortograficzne. Nie tylko w dziennikach [1]), ale i w dziełach naukowych napotyka się często grube usterki ortograficzne, germanizmy, budowę zdań prawdziwie potworną.

[1]) W tych dniach n. p. znalazłem w jednej z gazet lwowskich takie dziwolągi językowe: „r o b i ł y a t a k i“ — wojska nasze nie stawiały oporu „z powodu n i e p o r z ą d k u m o r a l n e g o“. „Słowo Polskie napisało raz: „spadła z konia, o t r z y m a w s z y stłuczenie ręki“ (!) Najgorszy bywa język w przekładzie telegramów, dlatego, że pracy tej dokonują zbyt pospiesznie ludzie, nie umiejący pisać poprawnie po polsku. Takich jednak błędów czytelnicy nie powinniby tolerować.

Do bojowników walczących o czystość języka i bardzo na tem polu zasłużonych, należy profesor uniwersytetu berlińskiego Aleksander **Brückner**, którego książka najnowsza p. n. „Walka o język“ (Lwów 1917, stron 284, cena 7 K) zasługuje z pewnością na uwagę powszechną.

Już w swoich „Dziejach języka polskiego“, wydanych przed 10 laty (por. Gaz. Kośc. z r. 1907, str. 138) pisał prof Brückner w sposób bardzo zajmujący o rozwoju naszego języka od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, o wpływach, jakim ulegała polszczyzna i jakie wywierała na inne języki, o kolejach, jakie przechodziły różne wyrazy i t. d. Podnosił też (na str. 88) zasługi, jakie położył **Kościół**, broniąc języka naszego w szkole i z kazalnicy przeciw zalewowi niemieckiemu. W ostatniej książce swojej dodaje autor do poprzednich mnóstwo nowych wiadomości, prostując także wiele zdań błędnych, które wypowiedział w swoich pismach dawniejszych.

„U nas“, pisze on na str. 3 „wobec naszego położenia, wobec braku urządzeń, coby cały obejmywały naród, wobec zdawania wszystkiego na dobrą wolę ogółu i jego niezgodnych przewodników, okazy niejednostajności i nieustalenia w piśmie mnożą się ciągle i dopiero od niedawna przychodzimy do przekonania, że miejsce przeróżnych wątpliwości i dowolności winny zająć zasady stałe, obowiązujące nietylko brać piśmienną w chwilach zajęć zawodowych, lecz każdego, kto się pióra dotknie, jeżeli nie chce zdradzić braku najpierwotniejszej ogłady; obowiązujące przedewszystkiem w szkole i prasie. Nie możemy przecież zdawać pisowni na łaskę czy domysły uczniów lub składaczy. Winniśmy przeciwnie podawać im stałe przepisy czy prawidła, wyprowadzać uczniów z chwiejności i dowolności, uczyć ich choć na tem polu karności i posłuszeństwa“.

Rzecz naturalna, że najwybitniejsi badacze mogą zapatrywać się różnie na prawidła pisowni i na wiele innych rzeczy, które wchodzą w zakres tego, co nazywamy „poprawnością i czystością“ języka. Niedawno też wykazał dyrektor **Passendorfer**[1]), że „niema w Warszawie dwóch czasopism, dwóch literatów, dwóch lingwistów i filologów, dwóch nauczycieli, niema dwóch ludzi inteligentnych, którzyby początkowe i tematowe zgłoski“ wyrazów pochodzenia cudzoziemskiego jednako pisali (str. 6). Ta sama niejednolitość pisowni panuje także we wszystkich **bez wyjątku** słownikach ortograficznych i językowych. Tak n. p. wyraz „pionier“ piszą aż na **pięć** sposobów: pionier, pionjer, pjonjer, pjonier, pijonier. Imię Hioba (tak Kryński) pisze w Słowniku warszawskim jeden autor: H*j*ob, a drugi H*ij*ob. „Trzech autorów i trzy sposoby pisania — to trochę za dużo“! (Str 7). W tym samym Słowniku czytamy w tomie I. str. 766.: fortep*i*an, fortep*ij*anista, a w tomie IV. na str. 133: p*i*anino = mały fortep*i*an; p*i*anista, ten co gra koncertowo na fortep*i*anie, fortep*i*anista. P*j*edestał i p*i*edestał. F*ij*ołek i f*j*ołek. D*j*eta i d*yj*eta.

Wobec takiego stanu rzeczy niemożliwą jest systematyczna nauka ortografii w szkole. Słusznie też żąda Brückner, żeby zgodzono się przecież na jakieś zasady pisowni i wprowadzono je do wszystkich szkół polskich, chociażby wielu uczonych nie chciało na nie się zgodzić. Poglądy zresztą samego autora na pisownię polską, jaką być powinna, są poniekąd dosyć dziwne i muszą wywołać sprzeciw z niejednej strony. I tak oświadcza on się n. p. za pisownią: „**lucki**“, ponieważ tak wymawiamy; według niego „ludzki, jest niemożliwe, chcąc uwydatnić pochodzenie słowa na piśmie, należałoby pisać, jak Czesi piszą, ludski, podobnie bożski, mężstwo“ (str. 66). Nie pozwala pisać: „**we** Włoszech“, tylko *w* Włoszech, — chociaż tak nikt nie mówi, — nie *ź*ródło, — tylko *ż*ródło (str. 70) itd. Nie podoba mu się dalej ogólnie przyjęta pisownia: Szekspir (str 80). Wolałby też pisać: Szwec*ia*, As*ia* niż Szwecya, Azya, ale godzi się na zwyczaj dziś powszechny (por. str. 59, 60, 62).

(C. d. n.). *X. P.*

[1]) Por. jego broszurę p. n. „W sprawie nowych zasad pisowni polskiej“ (Lwów 1917), poleconą w nrze 30 G. K. z r. b.

Religia i kultura starożytnego Egiptu.

(Dokończenie).

Począwszy od dynastyi 26-ej (7-y wiek prz Chr.), upada religia egipska coraz bardziej i wyradza się we wstrętny **kult zwierząt**. Powstanie tego kultu próbowano wyjaśnić za pomocą rozmaitych hipotez. Jedni sądzą, że z początku każde z plemion koczowniczych, które chciały osiedlić się na dolinie Nilu, miało swoją religię i jako odznakę wizerunek jakiegoś zwierzęcia, noszony na żerdzi; był to może totem. Każde też miało swojego boga szczególnie czczonego: i tak plemię ibisa czciło Thota, plemię barana — Amona. Kiedy potem plemiona te miały już stałe siedziby, zbudowały sobie miasta, weszły w skład jednego państwa i poddały się jednemu władcy, zaczęły wznosić świątynie, a chcąc wyobrazić swojego boga w postaci widzialnej, zrobiły jego symbolem zwierzę, które im przewodniczyło w czasie pochodu. W taki sposób Amon mógł dostać głowę barana, Thot głowę ibisa. Takie figury bogów znajdujemy w panteonie egipskim we wszystkich epokach. Z czasem zaś zaczęto upatrywać w tych zwierzętach, których wizerunki były symbolami bóstw, jakieś wcielenie potęg nadziemskich, — zaczęto czcić n. p. Apisa, bo mniemano, że w nim żyje dusza boga Phtah.

Inni przypuszczają, że zoolatrya egipska była wynikiem naturalizmu panteistycznego, który upatrywał objawy widzialne bóstwa we wszystkich jestestwach przyrody, a więc i w zwierzętach i dlatego wizerunki zwierząt czynił symbolami sił boskich: głowa barania wyobrażała siłę męską, głowa byka płodność przyrody, głowa żaby pierwszy początek (bo sądzono, że żaby rodzą się bezpośrednio z ziemi) i t. p. Kiedy jednak kapłani rozróżniali zawsze samo bóstwo od jego symbolu, — w umysłach ludu zatarła się ta różnica i zwierzę stało się jestestwem godnem czci boskiej, podobnie jak u Murzynów. Jest to degradacya pojęć religijnych, czyniąca wrażenie tem smutniejsze, jeżeli ją zestawimy z wysokim poziomem, na który wzniosła się **kultura** Egipcyan.

W całem ich życiu społecznem i państwowem panował stały i jak najdokładniej określony porządek. Krajem rządziła liczna armia urzędników, która czuwała nad wszystkiem, czem zajmowali się obywatele i o wszystkiem zdawała sprawę królowi. Utrzymywano dokładne

spisy gruntów i nazwisk ich właścicieli. Dyrektor policyi miał nadzór nad kanałami i drogami, prowadził spisy narodzin i śmierci, zbierał wiadomości o dochodach i sposobie życia każdego mieszkańca kraju. Ustawy były obmyślane bardzo praktycznie, chociaż niektórym trzeba zarzucić przesadną surowość. Według Dyodora krzywoprzysięstwo karano śmiercią. Tej samej karze ulegał, kto nie pospieszył na pomoc człowiekowi napadniętemu przez złoczyńców, jeżeli to mógł uczynić; jeżeli zaś nie mógł, był obowiązany donieść władzy o tem, co zaszło, — w razie przeciwnym czekała go kara cielesna i areszt trzydniowy o głodzie. Rozmyślne zabicie czy to człowieka wolnego czy niewolnika pociągało karę śmierci. Fałszerzom miar, wag, dokumentów, pieczęci odcinano obie ręce. Surowo karano także cudzołóstwo. Wszyscy obywatele przyzwyczajali się od dzieciństwa słuchać władzy, szanować ustawy, unikać wszelkiego nowatorstwa.

Społeczeństwo było podzielone na stany czyli zawody; według Herodota było ich siedem: kapłanów, wojowników, rolników, pasterzy wołów, wieprzarzy, rzemieślników, tłumaczy i przewoźników. Dyodor wylicza tylko pięć: kapłanów, wojowników, rolników, rzemieślników i pasterzy. Już ta różnica cyfrowa nasuwa wniosek, że nie było w Egipcie takiego podziału na odrębne kasty, jaki istniał w Indyach, że były to raczej tylko klasy, ograniczające w znacznej mierze mieszkańców w wyborze zawodu. Syn odziedziczał zwykle po ojcu jego urząd lub zajęcie; syn rzemieślnika lub pasterza nie mógł zostać kapłanem i t. p. Niektóre zajęcia były zabronione członkom pewnych klas, — unikano też związków małżeńskich z osobami do innych klas należącemi.

Na czele społeczeństwa stali kapłani i wojownicy, którzy też piastowali najwyższe urzędy. Kapłan mógł spełniać obowiązki wojownika, mógł ożenić się z córką wojownika a wojownik z córką kapłana. Kapłani mieli największe dochody i przywileje, ale też najwięcej od nich wymagano. Przepisy, dotyczące pokarmów, czystości ciała i moralności, były daleko surowsze dla nich niż dla klas innych. Nie wolno im było jeść wieprzowiny, baraniny, ryb i roślin strączkowych. Po dwa razy we dnie i w nocy musieli obmywać się w zimnej wodzie. Mieli być wzorem moralności, żyć w monogamii, raz w roku pościć przez 42 dni — dla zabicia w sobie 42 grzechów śmiertelnych.

W ich ręku było całe szkolnictwo. Przy świątyniach istniały osobne szkoły dla dzieci wojowników i innych klas, a osobne dla dzieci kapłanów, które zapoznawano stopniowo z całą wiedzą egipską, z pismem hieroglificznem i pospolitem, z geometryą, arytmetyką, astronomią i astrologią. Wiedza ta była utrzymywana w najściślejszej tajemnicy. Najsławniejsze kolegia kapłańskie znajdowały się w Tebach, w Phylae, Memfis i Heliopolis. Kapłani zajmowali się także sztuką medyczną i ułożyli kodeks, którego lekarze musieli się trzymać; lekarza, który nie zachowywał jego przepisów, czekała kara śmierci, jeżeli chory mu umarł, choćby z całkiem innej przyczyny. Każdemu lekarzowi wolno było zajmować się tylko jednym rodzajem chorób. Czuwano też troskliwie nad zdrowiem młodzieży i zniewalano ją do ćwiczeń fizycznych.

Zapobiegliwość, przemyślność i pracowitość Egipcyan nagromadziły w ich kraju ogromne bogactwa. Powstały liczne, kwitnące miasta, olbrzymie budowle, świątynie, pałace i inne dzieła sztuki. O słynnym Labiryncie mówi Herodot, że wspaniałość tego gmachu nie da się opisać, że w porównaniu z nim największe budowle greckie są ubogie i niepokaźne. Miał on 12 krytych dziedzińców i 3000 sal, z których połowa była pod ziemią. Ściany były pokryte hieroglifami. Świątynie imponują swoimi rozmiarami, kolosalną grubością swoich filarów, które musiały być bardzo grube i stać blizko siebie, bo dźwigały ciężar kamiennego dachu, ale gmachom tym brakuje harmonii i proporcyi. Sztuka egipska wogóle nie dążyła do piękności, ale raczej do surowej, zagadkowej wzniosłości; chciała wyrazić symbolicznie potęgę i majestat Bóstwa, budzić myśli poważne, przypominać śmierć i wieczność: taki charakter mają jej świątynie, piramidy, Sfinksy, posągi, malowidła grobowe.

X. A. P.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Z Halicza i jego okolicy. Ze starożytnego i niegdyś sławnego Halicza pozostały obecnie niestety tylko gruzy. Rynek i wszystkie domy żydowskie zniszczone zupełnie. Zachował się jednak — Bogu dzięki — kościół i plebania (ta ogołocona z okien) — a także część miasteczka wokoło kościoła.

W pobliżu Halicza, w wiosce św. Stanisław, znajduje się klasztor OO. Franciszkanów, który w czasie ostatnich walk został nieco nadwerężony. Kościół zaś przy klasztorze bardzo ucierpiał. Dach i sklepienia zgruchotane całkowicie. Wnętrze spaliło się wraz z ołtarzami, sprzętami, aparatami. Szkoda to ogromna, — bo to zabytek jeszcze z XIII. w.. Nawet portal kościoła, ciekawy okaz architektury, znacznie uszkodzony. W klasztorze przebywa X. Egidy Domrazek, gwardyan, który wiele przeszedł w czasie ostatniej, krótkiej, lecz bardzo przykrej inwazyi rosyjskiej (w lipcu b. r.).

Wsie w okolicy Halicza po większej części spalone; niektóre jednak, n. p. leżąca tuż pod Haliczem Załukiew, dziwnem zrządzeniem Bożem ostały się w całości. Bołszowce miasteczko, położone naprzeciw Halicza z drugiej strony Dniestru, zrujnowane. Uległ też tam zniszczeniu kościół i klasztor OO. Karmelitów, — kościółek filialny (ekspozytura) w Błudnikach ocalony.

Mieszkańców spotyka się mało w zniszczonych osadach. Wrócili tylko ci, których domy ocalały; inni, ubożsi tułają się w okolicznych wioskach, prowadząc życie żebracze. Jak trudna będzie tam teraz praca duszpasterska nad rozpierzchnionemi owieczkami! Ale w Bogu nadzieja!

Fr.

Z Wielunia piszą do „Kur. warsz.": W zacisznem ustroniu na przedmieściu Wielunia istnieje dotychczas zakon żeński PP. Bernardynek. Jest to fundacya Anny Koniecpolskiej, żony wielkiego hetmana, pogromcy Tatarów i Kozaków. Wspaniały klasztor wybudowała hojna ręka hetmanowej, a córka jej, Aleksandra wstąpiła do tego zakonu. Dotychczas widzieć można w kościółku schludnym PP. Bernardynek, w bocznym ołtarzu, krucyfiks nie duży, ze słoniowej kości, przedziwnej włoskiej roboty, który był ongi własnością fundatorki klasztoru. Portret jej w całej postaci z r. 1630, wcale dobrego pendzla włoskiej szkoły, znajduje się również w kościele. Mieści się w tej świątyni także portret jej córki Aleksandry w ubiorze zakonnym.

Rozległe dobra służyły klasztorowi i żywiły licznych ubogich, którzy do jego furty zawsze śmiało dzwonili. Pó-

źniejszymi czasy dobra te skonfiskował rząd rosyjski i porozdawał swoim jenerałom i dygnitarzom. Zakonnice rząd przeniósł do ustronnego klasztoru po OO. Paulinach, gdzie mogły tylko modlić się. Pracować czynnie na ojczystej niwie było im wzbronione. Dopiero po wyjściu Rosyan z Królestwa mogły PP. Bernardynki założyć szkółkę dla dzieci. Prócz tego mają zamiar otworzyć szkołę sług.

Stan Kościoła obecny we Francyi. Jakie stosunki wywołało we Francyi zmobilizowanie katolickiego kleru, przedstawia list urzędowy kardynała Dubois, arcybiskupa Rouen, do prezydenta departamentu Sekwany, p. Bignon. Przytaczamy tu jeden z ustępów tego listu (w przekładzie Przegl. Powsz.):

„Był Pan tyle uprzejmym, by zainteresować się losem parafii, z której kapłanów powołano pod broń. Przecież rozwiązanie kwestyi, które poszło w ślad za owem zainteresowaniem się, jest zapewne cennym paliatywem, ale w żadnym razie nie usuwa samego, nader ujemnego stanu. Kwestya cała ma doniosłość ogólną i musi być roztrząsaną z wyższego stanowiska. Zastosowanie nowego rozporządzenia o zaciągnięciu do wojska całego niemal kleru katolickiego pozbawiło wielką liczbę parafii zupełnie posługi duchownej. Całe okolice nie mają wcale księży, a pozostali są albo zbyt wiekowi, albo chorzy — zatem niezdolni do zastąpienia sił młodszych. Że przytoczę dla objaśnienia jeden jedyny przykład: Dziekan z Dieppe, X Benoist, prócz własnej parafii ma jeszcze do obsłużenia 9 innych. W wielu miejscowościach zaniechano całkiem nabożeństw niedzielnych; katechizowanie dzieci stało się niemożliwem; dzieci umierają bez chrztu św., dorośli bez Ostatnich Sakramentów. Znane mi jest doskonale ciężkie położenie, jakie wywołało konieczność tak daleko idącego rozporządzenia, ale sądzę, — że należało pozostawić księżom troskę o duszę ludności lub służbę sanitarną. Mówię tu wyłącznie w interesie wiernych. Przecież nie zmobilizowano równocześnie wszystkich piekarzy, nauczycieli, adwokatów, lekarzy, bez zapewnienia ich zastępstwa. Dlaczego powołano natomiast pod broń wszystkich księży pewnego wieku bez różnicy i zaryzykowano tem samem uniemożliwienie złużby Bożej w całych departamentach? Nikt z naszych wrogów — i nikt z naszych sprzymierzeńców nie postąpił podobnie; jedni i drudzy umieli pogodzić obowiązki obywatelskie z prawami sumienia i wolności wyzuania. Czyżby Francya miała być państwem jedynem, które nie troszczy się o to, co jest sprawą religijną? Kiedy my, biskupi, chcemy interweniować osobiście, spotykamy się z odpowiedzią: „Nie znamy was". A kiedy prosimy, by siły kapłańskie zużyto odpowiednio do ich powołania, otrzymujemy replikę: „Armia nie zna duchownych; wszyscy są żołnierzami".

Dodajmy do tego opisu, że w niektórych departamentach stosunki są jeszcze gorsze; w jednym naprzykład departamencie na 33 parafii jest tylko jeden ksiądz. Rola księdza francuskiego w rowach strzeleckich okazała się zapewne w niejednym wypadku doniosłą, jest jednak odwrotna strona metalu.

W ofierze dla jedności narodowej. Organ katolickich towarzystw robotniczych zachodnich Niemiec „Westdeutsche Arbeiterzeitung", wychodzący w M. Gladbach w Nadrenii pod bezpośrednim kierownictwem przywódców katolickiego stronnictwa politycznego Centrum, nawołuje w n-rze z dnia 15. lipca b. r. pokrewną sobie niemiecką prasę katolicką do zawieszenia broni na czas wojny względem socyalnej demokracyi. Znamienny ten głos jednego z najpoważniejszych centrowych pism robotniczych katolickich mówi o socyalistach jako obrońcach ojczyzny, którzy wraz z innymi rodakami przelewają krew i ofiarowują życie dla zabezpieczenia bytu państwa i przyszłości swoich dzieci, — nie pomijając zaś przeciwieństw zasadniczych, jakie istnieją między chrześcijaństwem a socyalizmem, tak uzasadnia swe wezwanie, którego celem jest utrzymanie wewnętrznej zgody politycznej i jedności narodowej:

„Tę wspólnotę krwi i ofiar uznać winna zarówno także owa prasa polityczna, która wszędzie tropi rosnące wpływy większości socyalistycznej i stara się ją obniżać. Przedewszystkiem nie rozchodzi się teraz o to i nie powinno się przywódców socyalistycznych, którzy z wybuchem wojny stanęli w szeregach obrońców ojczyzny, obciążać zarzutami z czasów przedwojennych. Ci, którzy je podnoszą, niech pamiętają o tem, że naród niemiecki czeka po wojnie zagadnienie wewnętrzno-polityczne ogromnej wagi, które rozwiązywać mamy wspólnie z demokracyą socyalną. W odbudowie wszelkich trudnych zadań narodowego życia z nastaniem pokoju współudział demokracyi socyalnej jest po prostu koniecznie potrzebny. Jeżeli tedy komuś ze względów partyjno-politycznych demokracya socyalna nie dogadza, ten musi dla ojczyzny złożyć z siebie ofiarę i przystosować się do konieczności. Komu w czasie wojny podoba się bojowanie i przelewanie krwi socyalistów, ten znieść musi także współpracę z nimi w czasie pokoju. Wnioski, jakie w przyszłości mogą wysnuwać z tego socyaliści na swoją korzyść, niech nas nie przejmują obawą. Raczej większa zachodzi obawa, że w razie na nowo powstałej opozycyi socyaliści nie łatwe do usunięcia wywołają konflikty i wzrosną politycznie w niebezpieczną siłę". (Soziale Praxis und Archiv für Volkswohlfahrt. Nr. 43. 1917. str. 850).

Stanowisko, zajęte przez Centrum niemieckie na czas wojny w stosunku do socyalistów, przypomina nam także naszą jedność narodową tak świetnie zainaugurowaną w dniu 16. sierpnia 1914, w deklaracyi stronnictw na zjeździe poselskim w Krakowie w kwietniu ub. roku, powtórzoną w maju b. r., w chwili wydania aktu z dnia 5. listopada, w zbiorowych odezwach całego episkopatu polskiego i na jego niedawnym zjeździe warszawskim, a tak przepięknie podniesioną i zaakcentowaną przez X. J. Pawelskiego (Przegląd Powszechny. Czerwiec 1916 str. 1_x—6_x). Dziś jednak ta jedność narodowa poważnie już jest nadszarpana. *X. Dr. A. Mylkowicz.*

Nasi uchodźcy w Pradze. Około 3000 naszych wychodźców wiedzie nędzny żywot w stolicy Czech. — Ta „zlata Praha" — ileż ona nędzy kryje w swojem łonie! Drożyzna szalona i brak wiktuałów najniezbędniejszych wpływa ujemnie na zdrowotność naszego ludu.

Wychodźcę galicyjskiego poznać można łatwo na bruku praskim.

Ulicą zdąża powolnym krokiem starzec, wpatruje się w bruk, jakby czegoś szukał, pochyla się co kilka kroków i coś podejmuje.

Zbiera tak starzec-uchodźca niedopalone resztki cygar i papierosów, bo zapewne nie ma grosza na podobny luksus na tułaczce, albo też nigdzie nie może dostać i za grosz krwawo zapracowany. Za starcem biegnie dziewczynka, kołacąc drewniakami o tafle kamienne chodnika, ubogo ubrane dziecię, o pociągłej, chudej twarzy, zda się nie należeć do tego świata. Polska dziecina jeszcze resztkami sił trzyma się ziemi, przyzwyczajona już i do biedy na obczyźnie.

Ale jedna jest tu przecież rzecz pocieszająca, mianowicie to, że mają zapewnioną opiekę duchowną.

OO. Misyonarze pracują w barakach w Chocni. — a księża świeccy z dyecezyi lwowskiej w Pradze i okolicznych większych gminach.

Przechodząc ul. Ferdynandową, usłyszałem ulatującą przez rozwarte drzwi kościoła Urszulanek melodyę pieśni:

„Twojej litości błagamy ze łzami,
Królowo Polski, przyczyń się za nami"!

Wszedłem do pięknej, starej, barokowej świątyni i ujrzałem uchodźców, klęczących na posadzce. Była to

niedziela. Starsi klęczeli od połowy kościoła aż pod chór, dziatwa tuż przy prezbiteryum, a z nią razem śpiewał X. katecheta Wójcik (z Kołomyi). Mszę św. odprawił X. Dobija (z Trembowli), pouczające kazanie „O ciemnocie naszego ludu“ wygłosił z ambony X. Makłowicz (z Kołomyi). Cześć dzielnym kapłanom, którzy nie szczędzą zdrowia i grosza, by tylko spełnić święty obowiązek pasterski wśród nieszczęśliwych!

Pracują tu również XX. Nogaj i Marcinkiewicz, który obecnie przeniesiony został do Berna morawskiego, gdzie również spora liczba naszych biedaków pędzi żywot na tułaczce.

Kapłani nasi uczą tu w kilku szkołach ludowych i w gimnazyum. Do nich też biedne matki spieszą o poradę i ratunek, od nich usłyszą nieraz słowa pociechy i zachęty do przetrwania.

Może już ta tułaczka nieszczęsna teraz się skończy, może już władze pozwolą wrócić uchodźcom w ich strony rodzinne, a gorzka nauka więcej zapewne przywiąże serca tych rodzin do własnej ziemi, do swego kościoła i kapłana.

X. Pilin

Echo z Truskawca.

Niezwykły widok przedstawia tego roku poczciwy gród „Naftusi“ — i na nim wycisnęła wojna swe piętno.

Żyjemy tu pod znakiem orła jednogłowego. Dzielne zastępy w pikelhaubach napełniają Truskawiec wojennym rozgwarem; odgłosy komendy, pieśń wojenna, szczęk broni, trąby i bębny, huk strzałów — oto muzyka codzienna, która kuracyuszom już od godziny 5-ej przypomina, że wojna jeszcze trwa.

Zaznaczyć wypada, że w wojsku dyscyplina wzorowa.

Zjazd gości dość liczny, przeważnie ze Lwowa i Przemyśla — zachodnia Galicya widocznie niema jeszcze dość zaufania do wschodnich rubieży. Aprowizacya dostateczna, lecz dobrze zrobi, kto przywiezie z sobą mleka konserwowanego, masła, a zwłaszcza mąki. Ceny — dzięki gościom z nad Sprewy — bardzo wygórowane: pobyt dzienny wraz z leczeniem kosztuje około 20 koron.

„Ogonki“ istnieją i w Truskawcu; w łazienkach przy Wurmbrand-Anlage trudno doczekać się wanny. Inhalacya słona, tak dla księży ważna, niestety jeszcze nie otwarta; natomiast tuż obok funkcyonuje sprawnie okazała „Entlausungsanstalt“, gdzie synowie Marsa szukają tłumnie uśmierzenia dolegliwości wojennych.

Z duchowieństwa przebywa tu J. E. X. Arcybiskup Bilczewski (Przed paru dniami opuścił Truskawiec J. E. X. biskup Pelczar) i 8 księży. Kościółek przy Kaiser Wilhelmstrasse, niedawno pięknie rozszerzony, posiada 5 ołtarzy i wystarczałby aż nadto dla 9 kapłanów, gdyby nie fatalny brak ministrantów, spowodowany dziwną abstynencyą od kościoła u naszej najmłodszej generacyi.

Na kilkunastu uczniów szkół średnich znalazł się zaledwo jeden, którego kapelan O. Sobaś T. J. zdołał do służenia do jednej mszy św. skłonić; innych w kościele nie widać.

Jest to objaw, który nam katechetom daje dużo do myślenia. Gdzie przyczyna? Czy to signum temporis? Czy też może i naszej trochę tam winy? Nauka religii, której udzielamy, powinnaby przecież dać młodzieży zrozumienie i umiłowanie mszy św., a także umiejętność służenia do niej.

A że objaw ten niepokojący nie po raz pierwszy i nie w Truskawcu tylko zauważyłem, więc zwracam nań uwagę publicznie.

X. dr. K. Thullie.

Bibliografia.

X. Franciszek Błotnicki. **Św. Jozafat Kuncewicz. Męczennik Unii** Lwów 1917. Nakładem Macierzy Polskiej. Stron 45. Cena 60 hal.

X. Franciszek Błotnicki znany już jest naszym Czytelnikom jako autor licznych artykułów, bardzo dobrze napisanych, które zamieściliśmy w Gazecie Kośc.. Teraz donosimy z przyjemnością o wydaniu przez niego dziełka małej wprawdzie objętości, ale cennego i świadczącego chlubnie o jego talencie i dążeniach. W pięćdziesiątą rocznicę kanonizacyi św. Jozafata uczcił on godnie cnoty bohaterskie i wiekopomne zasługi Męczennika Unii, opowiadając żywo i barwnie koleje jego życia.

Pierwszy rozdział poucza w sposób zwięzły, a dla ludu przystępny o schyzmie i o Unii. Broszura zaleca się i treścią i formą i zasługuje bardzo na rozpowszechnienie. *X. P*

Czubatyj Mykoła. **Zachidna Ukrajina i Rym u XIII. w. u swojich zmahaniach do cerkownoji uniji.** Odbitka z CXXIII. tomu „Zapysok Nauk. Towarystwa im. Szewczenka“ Lwów 1917. Nakładem autora, 8-ka, kł. nlb. 2, str. 107, 1 nlb.

Rozprawa wymieniona obejmuje wszystkie dążenia, powtarzające się w ciągu XIII. stulecia, zmierzające do połączenia Ukrainy zachodniej ze Stolicą apostolską. Od Romana do śmierci Daniły ponawiano je kilkakrotnie. Dwa razy za panowania Kolomana w Haliczu w latach 1214—1216 i za Daniły (1246—1257) połączenie ziem ruskich zachodnich z Rzymem było nawet faktem dokonanym. Zwłaszcza unia za Daniły zasługuje na osobną uwagę, chociażby z tego względu, że w tym czasie Rusini nawiązali rokowania ze Stolicą apostolską, mając własne państwo, tak że w tej sprawie udział czynników postronnych był bardzo nieznaczny.

W pracy swojej trzymał się autor przeważnie porządku chronologicznego. Na początku omawia stosunki Rusi z zachodem katolickim do śmierci Romana, następnie zajmuje się misyą legata Grzegorza w sprawie Rusi halickiej (1207), a dalej unią za czasów Kolomana (1214—1216). Potem daje krótki przegląd intensywnej propagandy misyjnej OO. Dominikanów na ziemiach ruskich w drugiem i trzeciem dziesięcioleciu XIII. wieku. Rozdział piąty jest poświęcony sprawie obecności ruskiego władyki Piotra na I. soborze lyońskim i jest niejako wstępem do historyi unii kościelnej za Daniły, która miała dwie odrębne fazy. Pracę całą kończy przegląd dotychczasowych badań naukowych nad tą kartą przeszłości Rusi.

Zbierając wyniki, jakie przyniosła ta rozprawa, przychodzimy do twierdzeń następujących: 1. poselstwo papieża Innocentego III. do kniazia halickiego Romana (1205) było możliwe; nie jest również wykluczona odpowiedź odmowna, wynikła nie z motywów religijnych, ale jedynie i wyłącznie z pobudek natury politycznej; 2. misya legata Grzegorza (1207) w Galicyi nie powiodła się z powodu niekorzystnych stosunków na Ukrainie, wówczas to bowiem toczyła się walka między braćmi Igorowiczami; 3. w latach 1214—1216 sprawę unii podnieśli Węgrzy, ale popierali ją również bojarzy ruscy i wyższe duchowieństwo. Tym razem unia nie utrzymała się, bo skompromitowała ją administracya węgierska i zapędy latynizacyjne kleru węgierskiego; 4. obecny na I. soborze lyońskim arcybiskup Piotr miał być władyką halickim i został wysłany na sobór przez Daniłę; 5. nieoficyalne przedstawienia władyki spowodowały Innocentego IV. do poruczenia poselstwu Carpiniego również sprawy zaszczepienia unii religijnej na Rusi zachodniej; 6. konsekracya metropolity Cyryla w Nicei mogła odbyć się najprędzej w drugiej połowie 1248 r.; 7. poselstwo z koroną od papieża miało miejsce w lecie 1248 r.; 8. ponowne nawiązanie stosunków Daniły z Rzymem około r. 1252 trzeba połączyć ze sprawą udziału Daniły w wojnie sukcesyjnej austryackiej; 9. unia religijna za Daniły upadła z powodu groźnej postawy Tatarów; 10. potwierdzenie jurysdykcyi biskupstwa lubuskiego na ziemiach ruskich w r. 1257 należy uważać za skutek zwinięcia dyecezyi unickiej. *Zet.*

Z powodu książki A. Chołoniewskiego „Duch dziejów Polski“.

Do pochlebnej krytyki tej książki, zamieszczonej przez X. Struszkiewicza w Nrze 32 „Gazety Kościelnej“, chciałbym dorzucić słów kilka.

Jak niezapomniany X. Skarga działalnością całego życia — a w szczególności kazaniem o miłości ojczyzny zapalał jej synów do tejże miłości — jak Sienkiewicz księgami swojemi rzucił na nią nowy blask piękna i miłość tę w sercach naszych pogłębił, podobnie — na swój sposób — czyni wyżej wspomniany autor.

Jako mistrz pendzla powoli uchyla zasłonę, z pod której stopniowo wyłania się wspaniałe dzieło jego ręki, podobnie mistrz słowa stopniowo, karta za kartą, przystępnie a treściwie podaje nam „ducha dziejów Polski“, by na ostatniej karcie z „dumą i miłością“ wskazać na nasze „wspaniałe i wielkie dziedzictwo, odziedziczone po przodkach“, tak często spotwarzone przez obcych, a nawet przez swoich.

Polska, w swych urządzeniach wewnętrznych wyprzedzająca o całe wieki inne kulturalne, a starsze narody, nie płaszcząca się nigdy u stóp tyranii, gdzie i stany niższe cieszą się opieką, a byt ich stokroć znośniejszy niźli na zachodzie; Polska, łącząca do swych rodzimych pieleszy ościenne narody nie mieczem lub pięścią, lecz ludzkością swych ustaw i właściwą jej siłą przyciągania obcych, musi w cudzoziemcach, zwykle źle informowanyah, wzbudzić rzetelny szacunek, u swoich spotęgować miłość ojczyzny.

Ale pomimo całego szacunku dla Autora i jego dziełka, poważam się nadmienić, że w niem znalazły się pewne dysonanse, mącące niepotrzebnie harmonijny tok myśli Autora, a przykrym zgrzytem odzywające się w duszy niejednego, czulszego czytelnika.

Tak na stronie 37, wiersz 26 z dołu czytamy:

„Dumny ze swoich swobód (naród szlachecki), jakich nigdzie nie było na kontynencie, a nieraz nad miarę niemi upojony, nigdy przecież, z wyjątkiem zdeprawowanego przez wychowanie jezuickie w XVII., nie zamyka się bezwzględnie przed dopływem z innych warstw ludności“.

Nie wiem, czy szanowny Autor zdawał sobie sprawę, gdy pisał broszurę, ze znaczenia tego słowa „zdeprawowany“? Gdyby tak było, ręczę, żeby tegoż nigdy nie był użył: nie można bowiem Zakonowi tak zasłużonemu przypisywać zbrodniczych niemal czynów, których nigdy nie popełnił, jak dowodzi tak wymownie O. Załęski w swojem dziele: „Czy Jezuici zgubili Polskę“? Autor powtarza tu zarzut, podnoszony już nieraz, a przez nikogo nie udowodniony. Zresztą OO. Jezuici zapewne sami nie zostaną dłużni odpowiedzi.

Na str. 71 wiersz 13 czytamy znowu:

„Nawet Jezuita polski, Skarga, po którym najmniej możnaby oczekiwać jakichkolwiek względów dla innowierców, ogarnięty nastrojem powszechnym, mówił: „Złe odszczepieństwo, ale krew miła“.

Tak — prawda, nawet Jezuita Skarga bronił innowierców, ale bronił ich nie „ogarnięty nastrojem powszechnym“, bo toby ubliżało jemu i wszystkim kapłanom, ale dlatego właśnie, że był katolickim kapłanem, a jako taki szedł za głosem Chrystusa, który każe miłować i bronić nawet „nieprzyjaciół“ naszych.

Jakże pięknie pisał o Skardze wielki publicysta B. Prus, — pozwolę sobie tutaj kilka zdań jego przytoczyć:

„Tymczasem cóż robił Skarga w rzeczywistości? Pisał i kazał przeciw innowiercom może łagodniej aniżeli dzisiejsi wolnomyślni przeciw katolicyzmowi — zarazem jednak tumulty przeciwko innowiercom nazywał wszetecznictwem i chwalił katolików, że mając moc nad heretykami, nie cisnęli ich i nie przymuszali do wiary katolickiej“. „A nareszcie, zachęcając do wykorzenienia różnowierstwa, zalecał, aby nie czynić tego przemocą, ani żelazem, lecz życiem cnotliwem, nauką, rozprawami i łagodnem obchodzeniem się“.

Słowa te stwierdzają, że nie Skarga stosował się do nastroju powszechnego, lecz on, jako mąż Ducha Bożego, grał na strunach uczuć dusz ludzkich i ten nastrój powszechny umiłowania bliźniego, choćby innowiercy, swem słowem natchnionem w sercach słuchaczy wyrabiał.

Wreszcie na str. 74 — wiersz 25 — pisze Autor: „Przez cały wiek XVII., chociaż fanatyzm katolicki coraz gwałtowniej wzbiera pod wpływem wytężonej działalności Zakonu Jezuitów, prawa polityczne dyssydentów pozostają w pełni nienaruszone“.

Przez „fanatyzm“ rozumiemy przywiązanie się zaciekłe, uparte, namiętne do pewnych zapatrywań, które czyni człowieka nieprzystępnym dla wszelkich perswazyi i wywołuje gwałtowne walki, albo nawet zbrodnie; — u nas fanatyzmu katolickiego nie było wcale.

Wiara to rzecz święta, z której jako ze źródła płynie miłość ojczyzny; czyliż więc można nazwać fanatykiem tego, kto broni swej wiary słowem, pismem, a nawet swoją piersią i krwią własną?

Do takiego „fanatyzmu“ byli obowiązani i Skarga i inni Jezuici, wszyscy kapłani i katolicy XVII. wieku, obowiązani jesteśmy wszyscy i dziś żyjący.

Oceniając wielkie zasługi Autora broszury, pozwoliłem sobie na powyższe uwagi z tego powodu, ponieważ ją rozesłano do naszych spółek oszczędności i pożyczek, celem rozpowszechnienia jej jak najszerszego pomiędzy ich członkami, ludźmi najzacniejszymi, lecz po największej części niezdolnymi do oceny krytycznej tego, co czytają.

Jezuici deprawujący naród, Skarga, kierujący się nie Duchem Bożym, ale „nastrojem powszechnym“, „fanatyzm katolicki“, — takie słowa, półsłówka, niedomówienia lekko rzucone, mogę w dusze prostacze wnieść zamęt, wypaczyć pojęcia i sprowadzić skutki, wcale nie pożądane przez samego zacnego Autora! — Dixi!

X. R. K.

Na fundusz pras. przysłał X. A. D. z B. 19 koron.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę, jakoteż za treść inseratów redakcya nie przyjmuje na siebie odpowiedzialności).

Na ogłoszenie, podpisane przez Ks. Michała Kronenberga w „Gazecie kościelnej“ Nr. 32. z dnia 10. sierpnia b. r. w sprawie kupionego u mnie wina, oświadczam, co następuje:

Wino kupione u mnie przez Ks. Kronenberga było winem naturalnem, pochodzącem z Tolcsvy obok Tokaju (Szamorodner mszalny). Analiza c. k. Zakładu powszechnego dla badania środków spożywczych w Krakowie, na której ks. Kronenberg swe ogłoszenie opiera, nie jest miarodajną, gdyż Zakład ten zajmuje się więcej badaniem mleka i t. p. środków spożywczych, a najmniej badaniem wina. Orzeczenie c. k. Zakładu powyższego w Krakowie w sprawie mego wina jest — śmiało rzec mogę — dyletanckie. Orzeczenie bowiem, że wino jest alkoholizowane, opiera ów Zakład jedynie na twierdzeniu badającego przez kosztowanie w smaku, a nie na rozbiorze chemicznym, bo analizą tego wcale nie wykazuje. Wino to fermentowało z powodu upałów podczas transportu, a wiadomo, że wino fermentujące ma w smaku goryczkę, która dla nieznawców wydaje się jako wino spirytusowane.

Aby sprawę sprowadzić na właściwe tory, oddałem tę całą sprawę c. k. inspektorowi piwnic dla Galicyi we Lwowie, który posłał cały materyał do jedynie kompetentnej i fachowej instytucyi dla badania wina, t. j. c. k. Stacyi doświadczalnej chemiczno-rolniczej we Wiedniu do rozstrzygnięcia, a wkrótce wykażę publicznie prawdę co do naturalności i prawdziwości owego wina i pociągnę tych do odpowiedzialności, którzy spowodowali i rozszerzyli fałszywe wieści o mej firmie. *T. Cieśliński*, w Przemyślu.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.